

AUTORKA BESTSELLEROWYCH  
WSPÓŁLOKATORÓW



**BETH O'LEARY**  
**ZaMiiaNa**

LEENA JEST ZA MŁODA, ŻEBY UTKNAĆ W MIEJSCU.  
EILEEN JEST ZA STARA, ŻEBY ZACZYNAĆ OD NOWA.

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE SWITCH

Copyright © Beth O'Leary Ltd 2020  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Ilustracje na okładce i projekt graficzny okładki oryginalnej:  
Helen Crawford-White, studiohelen.co.uk

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# 1

## *Leena*

– Chyba powinnyśmy się zamienić – mówię do Bee, unosząc się do półprzysiadu, żeby widzieć ją nad ekranem monitora. – Mam cykora. Ty powinnaś zacząć, a ja skończę i dzięki temu, zanim przyjdzie moja kolej, będę mniej... no wiesz... – Poruszam rękami, próbując opisać swój stan ducha.

– Mniej machała łapami?

– Daj spokój, proszę.

– Leeno, droga przyjaciółko. Mój ideale. Królowo upierdliwości. O wiele lepiej ode mnie zaczynasz prezentacje, więc nie będziemy zmieniać kolejności dziesięć minut przed spotkaniem z kluczowym klientem, tak jak nie zamieniałyśmy się na ostatniej radzie projektu ani na przedostatniej, ani na przedprzedostatniej, bo to by był czysty obłąd. Poza tym, szczerze mówiąc, nie mam bladego pojęcia, co jest na pierwszych slajdach.

Opadam na krzesło.

– No tak, racja. – Znowu się podnoszę. – Ale tym razem czuję się naprawdę...

– Hm – odpowiada Bee, nie odrywając oczu od ekranu.  
– Jasne. Nigdy nie czułaś się gorzej. Dygoczesz, pocą ci się

ręce i tak dalej. Tyle że jak tam wejdiesz, zaraz staniesz się czarująca i błyskotliwa jak zawsze i nikt niczego nie zauważy.

– A jeżeli coś mi...

– Nic ci.

– Bee, naprawdę myślę, że...

– Wiem.

– Ale tym razem...

– Zostało osiem minut, Leena. Spróbuj sztuczki z oddychaniem.

– Jakiej sztuczki z oddychaniem?

Bee waha się przez moment.

– No, wiesz. Z oddychaniem.

– Mówisz o normalnym oddychaniu? – pytam. – Myślałam, że chodzi o jakąś technikę medytacyjną.

Kwituje to prychnięciem i przez chwilę milczy.

– Leena, setki razy radziłaś sobie w znacznie gorszych sytuacjach – odzywa się w końcu.

Krzywię się, ściskając w dłoniach kubek z kawą. W dołku u podstawy żeber gniecie mnie strach, tak prawdziwy, że wydaje się namacalny – jak guz, jak kamień, który można by wyciąć nożem.

– Wiem – mówię. – Wiem, że sobie radziłam.

– Musisz tylko odzyskać swoją magiczną moc – radzi Bee. – Jedyne sposobem to nie dać się wypchnąć z ringu. Jasne? Słuchaj, przecież jesteś Leeną Cotton, najmłodszą starszą konsultantką w firmie, osobowością roku dwa tysiące dwudziestego w Selmount Consulting. A już niedługo... – zniża głos – pewnego dnia współwłaścicielką naszej firmy. Tak?

Tak. Tyle że w ogóle nie czuję się tamtą Leeną Cotton.

Bee przygląda mi się z troską, marszcząc pociągnięte

kredką brwi. Zamykam oczy i siłą woli staram się pokonać strach. Na chwilę się udaje: w krótkim przeblysku wraca do mnie osoba, jaką byłam półtora roku temu, osoba, która śpiewająco przeszłaby przez taką prezentację, bez najmniejszego potknięcia.

– Bee, Leena, jesteście gotowe?! – woła asystent dyrektora, idąc przez biuro Upgo Finance.

Wstaję i nagle wiruje mi w głowie; atakuje mnie fala mdłości. Łapię się krawędzi biurka. Cholera. Tego jeszcze nie grali.

– Nic ci nie jest? – szepcze Bee.

Przełykam ślinę i przyciskam ręce do biurka, aż nadgarstki przeszywa ból. Przez chwilę wydaje mi się, że chyba tego nie zrobię – nie mam siły, Boże, jaka jestem zmęczona – ale po chwili wreszcie odzywa się mój charakter.

– Oczywiście – rzucam. – Zaczynamy.

\*

Mija pół godziny. To naprawdę niewiele czasu. W trzydzieści minut nie da się obejrzeć całego odcinka *Buffy: Postrachu wampirów* ani... ani upiec dużego ziemniaka. Można natomiast totalnie zrujnować sobie karierę.

Bałam się tego. Od ponad roku móżolę się z pracą, jestem rozkojarzona, zaliczam różne pomyłki i kiksy, które zwykle po prostu mi się nie zdarzają. Jak gdybym od śmierci Carli przestała być praworęczna i nagle wszystko zaczęła robić lewą ręką. Ale napinam się, staram i naprawdę sądziłam, że dam radę.

Najwyraźniej jednak nie.

Przysięgam, myślałam, że umrę na tym spotkaniu. Kiedyś na studiach przeżyłam atak paniki, ale tym razem było znacznie gorzej. Nigdy do tego stopnia nie straciłam

panowania nad sobą. Czułam się tak, jakby mój strach zaczął żyć własnym życiem: nie był już twardym guzem, ale wyrosły mu macki, które zaciskały się na moich nadgarstkach i kostkach i sięgały do gardła. Serce biło coraz szybciej i szybciej, jak gdyby przestało być częścią mojego ciała i zmieniło się w uwięzionego ptaka, który tłucze się jak oszałały o klatkę żeber.

Gdybym pomyliła się przy jednej sumie przychodów, można by to jeszcze wybaczyć. Ale kiedy to się stało, ogarnęły mnie mdłości, popełniłam drugi błąd, potem następny, oddech stał się za szybki, a mózg... nie zasnuł się mgłą, tylko wypełnił ostrym światłem. Osłepiająco ostrym.

Kiedy więc Bee wtrąciła: „Pozwolisz, może ja...”

a potem ktoś inny stwierdził: „No nie, przecież to śmieszne...”

i gdy dyrektor generalny Upgo Finance zasugerował: „Chyba już wystarczy, nie sędzicie...?”

byłam załtwniona. Łapałam oddech, zgięta w pół, pewna, że za chwilę umrę.

– Już dobrze – powtarza Bee, mocno ściskając mnie za rękę. Siedzimy zaszyte w jednoosobowym przeszklonym boksie w rogu biura Upgo; kiedy mnie tu przyprowadziła, byłam w stanie hiperwentylacji i miałam przepoconą bluzkę. – Już dobrze. Jestem przy tobie.

Wciążam powietrze chrapliwymi haustami.

– Selmount stracił przeze mnie kontrakt z Upgo? – wydobywam z siebie.

– Rebecca właśnie rozmawia z dyrektorem. Na pewno wszystko się ułoży. Nie myśl o tym, oddychaj.

– Leena?! – woła ktoś. – Leena, dobrze się czujesz?

Nie otwieram oczu. Jeżeli będę tak siedzieć w ciemności, może okaże się, że to nie jest głos asystentki mojej szefowej.

– Leena? To ja, Ceci, asystentka Rebekki.

Kurczę, jakim cudem tak szybko się tu zjawiała? Z siedziby Selmount do biura Upgo metrem jedzie się co najmniej dwadzieścia minut.

– Och, Leena, co za historia! – mówi Ceci. Podchodzi do boksu i masuje mi ramię irytującym okrężnym ruchem.  
– Biedactwo. Tak, wypłacz się.

Wcale nie płaczę. Powoli wypuszczam powietrze z płuc, patrzę na Ceci w designerskiej sukience i z niezwykle triumfalnym uśmiechem na ustach i po raz setny przypominam sobie w duchu, że należy wspierać inne kobiety w biznesie. Naprawdę głęboko w to wierzę. Kieruję się tą zasadą i zamierzam się jej trzymać, wspinając się po szczeblach kariery na sam szczyt.

Kobiety są jednak także ludźmi. A niektórzy ludzie są okropni.

– Co możemy dla ciebie zrobić, Ceci? – pyta przez zęby Bee.

– Rebecca przysłała mnie, żebym sprawdziła, czy nic ci nie jest – zwraca się do mnie asystentka szefowej. – Wiesz, po tym twoim... – przebiera palcami w powietrzu – małym zachwianiu. – Brzęczy jej iPhone. – O, właśnie przysłała mi maila.

Bee i ja czekamy spięte. Ceci niemiłosiernie długo czyta wiadomość.

– No i co? – pyta Bee.

– Hm? – mruży Ceci.

– Rebecca? Co napisała? Czy moje... czy przeze mnie straciliśmy kontrakt? – jąkam.

Przechyla głowę, ciągle wpatrując się w telefon. Czekamy. Czuję falę paniki, która też czeka – by mnie zatopić.

– Rebecca wszystko załatwiła. Jest fantastyczna, prawda? Nie wycofują się z projektu z Selmount i mimo sytuacji okazali wielką wyrozumiałość – informuje nas w końcu Ceci. – Chce teraz z tobą porozmawiać, więc powinnaś chyba pędzić do biura.

– Gdzie? – wyduszam z siebie. – Gdzie chce się ze mną spotkać?

– Hm? W pokoju pięć C, w dziale HR.

No jasne. Gdzież by indziej mogła mnie wywalić, jeśli nie w dziale kadr?

\*

Rebecca i ja siedzimy naprzeciw siebie. Towarzyszy jej Judy z działu HR. Siedzi po jej stronie stołu, nie po mojej, a to nie jest dobry znak.

Moja szefowa odgarnia włosy z twarzy i patrzy na mnie z mieszaniną smutku i współczucia, co odczytuję jako bardzo zły znak. Przecież to Rebecca, królowa szorstkiej przyjaźni, mistrzyni wbijania szpil w najmniej spodziewanym momencie. Kiedyś powiedziała mi, że jedyną skuteczną drogą do najlepszych wyników jest oczekiwanie niemożliwego.

Jeżeli jest dla mnie miła, to w zasadzie oznacza, że straciła nadzieję.

– Leena, dobrze się czujesz? – zaczyna.

– Ależ tak, oczywiście, nic mi nie jest – mówię. – Rebecca, pozwól, że wszystko wyjaśnię. To, co się stało na spotkaniu... – Milknę, bo marszczy brwi i macha ręką.

– Słuchaj, Leena, wiem, że świetnie grasz swoją rolę, i Bóg mi świadkiem, że cię za to uwielbiam. – Zerka na Judy. – Selmount ceni twój... charakter i pozytywne nastawienie. Ale przestańmy pieprzyć. Wyglądasz jak



siedem cholernych nieszczęść.

Judy dyskretnie kaszle.

– Zastanawiamy się właśnie, czy nie jesteś trochę wyczerpana – ciągnie na jednym oddechu Rebecca. – Sprawdziliśmy twoje papiery. Wiesz, kiedy ostatni raz brałaś wolne?

– Czy to... podchwytliwe pytanie?

– Tak jest, bo w ciągu ostatniego roku nie wzięłaś ani jednego dnia z przysługującego ci urlopu. – Rebecca piorunuje wzrokiem Judy. – Co, nawiasem mówiąc, w ogóle nie powinno być możliwe.

– Mówiłam ci już – syczy Judy. – Nie wiem, jak się prześliznęła.

W odróżnieniu od niej wiem, jak się prześliznęłam. Dział kadr głównie mówi o tym, że dba, aby personel wykorzystywał roczny przydział urlopu, ale w rzeczywistości ogranicza się do przysyłania maila dwa razy do roku z informacją, ile zostało ci dni, i dorzucania na zachętę czegoś o „równowadze psychicznej i fizycznej”, o „naszym holistycznym podejściu do pracownika” i „potrzebie przejścia na tryb offline, by zmaksymalizować swój potencjał”.

– Naprawdę, Rebecca, nic mi nie jest. Bardzo mi przykro za moje... że dzisiaj rano przerwałam spotkanie, ale jeżeli pozwolisz mi...

Znowu mars i machnięcie ręki.

– Leena, przepraszam. Wiem, że to dla ciebie strasznie trudny czas. Praca nad tym projektem jest niezwykle stresująca i od pewnego czasu mam wrażenie, że zlecając ci go, nie byliśmy wobec ciebie fair. To prawda, że kiedy mówię coś takiego, zwykle robię sobie jaja, ale twoje dobro naprawdę leży mi na sercu, jasne? No więc po rozmowie z

naszymi partnerami uzgodniliśmy, że zabieramy ci projekt dla Upgo.

Nagle wstrząsa mną idiotyczny niekontrolowany dreszcz, którym moje ciało przypomina mi, że nie odzyskałam jeszcze nad nim panowania. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale Rebecca nie daje mi dojść do głosu.

– Postanowiliśmy też nie powierzać ci żadnego projektu przez najbliższe dwa miesiące – kontynuuje. – Potraktuj to jako urlop regeneracyjny. Dwa miesiące. Nie wolno ci wracać do Selmount, dopóki nie odpoczniesz i przestaniesz wyglądać jak osoba, która spędziła rok na froncie. Zgoda?

– To nie jest konieczne – zapewniam ją. – Rebecca, proszę, daj mi szansę udowodnić, że...

– Do cholery, Leena, dostajesz prezent – rzuca rozdrażnionym tonem. – Płatny urlop! Dwa miesiące!

– Nie chcę. Chcę pracować.

– Doprawdy?! Twoja mina mówi, że masz ochotę zasnąć. Myślisz, że nie wiem, że w tym tygodniu codziennie śleczłaś do drugiej w nocy?

– Przepraszam. Wiem, że powinnam się trzymać regularnych godzin pracy. Było tylko kilka...

– Nie krytykuję cię za sposób zarządzania czasem pracy. Pytam cię tylko, kobieto, kiedy ty, do cholery, odpoczywasz.

Judy wydaje serię dyskretnych kaszlnięć. Rebecca posyła jej zirytowane spojrzenie.

– Tydzień – proponuję z rozpaczą. – Wezmę tydzień wolnego, odpocznę, a kiedy wrócę...

– Dwa. Miesiące. Koniec dyskusji. To nie są negocjacje. Potrzebujesz tego czasu. Mam ci to udowodnić? Nie zmuszaj mnie, żebym poszczuła cię działem HR. – Towarzyszy temu lekceważący ruch głową w kierunku Judy, a ta cofa brodę, jakby nagle ktoś z rozmachem dał jej

w twarz albo trzepnął ją w czoło.

Czuję, że znowu oddycham szybciej. Zgadza się, miałam trochę trudności, ale nie mogę wziąć dwóch miesięcy urlopu. W Selmount chodzi przede wszystkim o reputację – jeżeli po spotkaniu w Upgo wycofam się z gry na całe osiem tygodni, stanę się pośmiewiskiem.

– W ciągu ośmiu tygodni nic się nie zmieni – uspokaja mnie Rebecca. – Słyszysz? Kiedy wrócisz, będziemy na ciebie czekać. A ty będziesz tą samą Leeną Cotton, najmłodszą starszą konsultantką, najbardziej pracowitą i łąbską dziewczyną w firmie. – Przygląda mi się badawczo. – Każdy czasem potrzebuje przerwy. Nawet ty.

Kiedy wychodzę ze spotkania, jest mi niedobrze. Myślałam, że mnie wyleją – przygotowałam sobie nawet odpowiedni tekst o nieuzasadnionym zwolnieniu. Ale... urlop wypoczynkowy?

– I co? – Bee wyrasta tuż przede mną, więc muszę ostro zahamować, by na nią nie wpaść. – Czatowałam na ciebie – wyjaśnia. – Co powiedziała Rebecca?

– Powiedziała... że muszę wziąć urlop.

Bee wlepia we mnie zdumione spojrzenie.

– Chodźmy na lunch.

\*

Kiedy idziemy Commercial Street, omijając slalomem turystów i biznesmenów, telefon dzwoni mi w rękę. Zerkam na ekran i potykam się, omal nie zderzając się z mężczyzną, który ściska w zębach jak fajkę elektronicznego papierosa.

Bee patrzy mi przez ramię na wyświetlacz.

– Nie musisz teraz odbierać. Niech sobie dzwoni.

Zawieszam palec nad zieloną ikonką na ekranie. Ramieniem trącam w bark idącego z naprzeciwka

mężczyznę w garniturze; facet cmoka z niesmakiem, a ja gwałtownie zataczam się na drugą stronę chodnika i Bee musi mnie podtrzymać.

– Co byś mi kazała zrobić, gdybym była na twoim miejscu? – próbuje Bee.

Odbieram telefon. Bee wzdycha i otwiera drzwi Watson's Café, naszej ulubionej knajpki na rzadkie i szczególnie okazje, gdy udaje się nam opuścić biuro Selmount, żeby coś zjeść.

– Cześć, mamó – mówię.

– Leena, witaj!

Wzdrygam się. Z radosnego tonu i wystudiowanej swobody domyślam się, że przed telefonem dobrze przećwiczyła to powitanie.

– Chcę z tobą porozmawiać o hipnoterapii – oznajmia. Siadam naprzeciwko Bee.

– O czym?

– O hipnoterapii – powtarza mama, tym razem z mniejszą pewnością siebie. – Słyszałaś o tym? Robi to ktoś w Leeds i wydaje mi się, że coś takiego mogłoby być dla nas naprawdę dobre. Może poszłybyśmy we dwie, kiedy przyjedziesz następnym razem, co?

– Mamó, nie potrzebuję hipnoterapii.

– On nie hipnotyzuje ludzi, jak na przykład Derren Brown, tylko...

– Nie potrzebuję hipnoterapii. – Brzmi to szorstko; z drugiej strony zapada bolesne milczenie. Zamykam oczy, znowu opanowując oddech. – Możesz spróbować, ale ja sobie bez niej poradzę.

– Po prostu myślę, że może... może dobrze byłoby zrobić coś razem, to niekoniecznie musi być terapia, ale...

Zauważam, że pominęła „hipno”. Przyglądam włosy,

czując pod palcami znajomą sztywność lakieru i unikając wzroku Bee.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać w jakimś miejscu, gdzie... nie mówi się krzywdzących rzeczy. Gdzie po prostu toczy się pozytywny dialog.

W rozmowie wyczuwam efekty najnowszego poradnika mamy. Zdradza je wyważony ton, bezosobowość, wyrażenia typu „krzywdzące rzeczy”, „pozytywny dialog”. Ale gdy zaczynam się wahać i mam już na końcu języka „Tak, mamo, jeżeli to ma ci poprawić samopoczucie...”, myślę o decyzji, którą mama pomogła podjąć Carli. O tym, że pozwoliła mojej siostrze przerwać leczenie i... skapitulować.

Nie jestem pewna, czy nawet hipnoterapia w stylu Derrena Browna pomogłaby mi się z tym uporać.

– Zastanowię się nad tym – mówię. – Do widzenia, mamo.

– Pa, Leena.

Bee przygląda mi się zza stolika, czekając, aż pozbieram myśli.

– W porządku? – pyta w końcu. Przez ostatni rok pracowała ze mną nad projektem dla Upgo; od śmierci Carli widzi mnie pięć razy w tygodniu przez cały dzień. Wie o moich relacjach z matką tyle samo co mój chłopak, jeśli nie więcej – z Ethanem spotykam się tylko w weekendy i raz na jakiś czas wieczorem w środku tygodnia, jeżeli oboje punktualnie wychodzimy z pracy, a z Bee spędzam około szesnastu godzin dziennie.

Mocno przecieram oczy; na rękach mam grudki tuszu do rzęs. Muszę wyglądać jak nieszczęście.

– Miałś rację – przyznaję. – Powinnam nie odbierać telefonu. Fatalnie to rozegrałam.

– Wydawało mi się, że nieźle sobie poradziłaś – stwierdza Bee.

– Proszę cię, pogadajmy o czymś innym. O czymś, co nie ma związku z moją rodziną. Ani z pracą. Ani z czymś w podobnym stopniu koszmarnym. Opowiedz mi o swojej wczorajszej randce.

– Jeżeli nie chcesz słuchać o czymś koszmarnym, musisz wybrać inny temat – oświadcza Bee, sadowiąc się wygodniej na krześle.

– Och, nie było dobrze? – pytam.

Połykam łyż, ale Bee uprzejmie brnie dalej, udając, że tego nie zauważa.

– Nie. Wstrętnie. Wiedziałam to od razu, kiedy się nachylił, żeby mnie pocałować w policzek, i poczułam stęchły, spleśniały zapach ręcznika z męskiej szatni, którym chyba przemył sobie twarz.

Działa – wyobrażenie jest wystarczająco paskudne, żebym wróciła do teraźniejszości.

– Faj – rzucam.

– A w kąciku oka miał dużą kulkę ropy. Jak glut.

– Och, Bee... – Szukam odpowiednich słów, które by ją przekonały, żeby nie skreślała tak szybko ludzi, ale wygląda na to, że opuściły mnie umiejętności perswazyjne, zresztą to skojarzenie z ręcznikiem jest naprawdę obrzydliwe.

– Jestem prawie gotowa dać sobie spokój i pogodzić się, że na wieki zostanę samotną matką – ciągnie Bee, starając się zwrócić na nas uwagę kelnera. – Doszłam do wniosku, że randki są rzeczywiście gorsze od samotności. Kiedy jesteś sama, to przynajmniej nie masz nadziei, prawda?

– Nie masz nadziei?

– No, nie masz. Wspaniale. Wszyscy wiemy, jak to wygląda: człowiek sam przychodzi na świat, tak samo z

niego odchodzi i tak dalej, i tak dalej... Natomiast randki... randki są pełne nadziei. Prawdę mówiąc, randki to długi i bolesny proces odkrywania, jak bardzo ludzie mogą cię rozczarować. Za każdym razem, gdy zaczynasz wierzyć, że spotkałeś dobrego, miłego faceta... – porusza w powietrzu palcami – zaraz wychodzą na jaw problemy z mamusią, kruche ego i dziwne serowe fetysze.

Kelner wreszcie spogląda w naszą stronę.

– To co zawsze?! – woła przez całą salę.

– Tak! I dodatkowa porcja syropu na jej naleśnikach! – odpowiada Bee, wskazując na mnie.

– „Serowe” fetysze? – upewniam się, że dobrze usłyszałam.

– Powiedzmy, że zobaczyłam parę zdjęć, które mocno zraziły mnie do brie.

– Brie? – powtarzam ze zgrozą. – Boże, przecież brie jest taki pyszny! Jak można zdemoralizować brie?

Bee gładzi mnie po ręce.

– Mam nadzieję, że nie będziesz się musiała o tym nigdy przekonać, moja droga. Słuchaj, skoro mam cię pocieszać, to może porozmawiamy o twoim idealnym życiu uczuciowym, co? Pewnie zaczęło się już odliczanie i Ethan lada chwila się oświadczy. – Dostrzega moją minę. – O tym też nie chcesz rozmawiać?

– Po prostu... – Macham rękami i znowu pieką mnie oczy. – Ogarnia mnie wielka fala przerażenia. O Boże, Boże, Boże...

– Mogę wiedzieć, w związku z którym kryzysem życiowym wzywasz boskiego imienia? – pyta Bee.

– W związku z pracą. – Wciskam zgięte palce w oczy, dopóki nie poczuję bólu. – Nie wierzę, że przez całe dwa miesiące nie dostanę żadnego projektu. To jak... jak małe

wylanie z pracy.

– Tak naprawdę – mówi Bee, a ja na dźwięk tonu jej głosu opuszczam ręce i otwieram oczy – to dwumiesięczny urlop.

– No tak, ale...

– Leena, uwielbiam cię i wiem, że jesteś teraz w cholernym dołku, ale spróbuj zrozumieć: to może być coś dobrego! Trudno mi będzie dalej cię uwielbiać, jeżeli przez najbliższe osiem tygodni zamierzasz narzekać, że dostałaś dwa miesiące płatnego urlopu.

– Och, przecież...

– Mogłabyś wyjechać na Bali! Albo na wyprawę do lasów deszczowych Amazonii! Albo w rejs dookoła świata!

– Unosi brwi. – Wiesz, ile bym dała za taką wolność?

Przełykam ślinę.

– No tak. Racja. Przepraszam, Bee.

– Nic nie szkodzi. Wiem, że dla ciebie to coś więcej niż wolne od pracy. Pomyśl tylko o tych z nas, którzy spędzają urlop w muzeach dinozaurów, po których biegają tabuny dziewięciolatków, dobrze?

Powoli robię wdech i wypuszczam powietrze z płuc, czekając, aż jej słowa do mnie dotrą.

– Dziękuję – mówię, gdy do naszego stolika zbliża się kelner. – Musiałam to usłyszeć.

Bee uśmiecha się i spogląda na talerz.

– Wiesz – rzuca mimochodem – mogłabyś wykorzystać ten czas, żeby wrócić do naszego biznesplanu.

Krzywię się. Od paru lat przymierzamy się z Bee do założenia własnej firmy konsultingowej – byliśmy już gotowe zdecydować się na ten krok, gdy zachorowała Carla. A teraz wszystko... trochę utknęło w miejscu.

– Tak. – Siłę się na radosny ton. – Oczywiście.



Bee unosi brew. Mój zapal wędnie.

– Przepraszam cię, Bee. Naprawdę chcę, ale wydaje mi się, że... to po prostu niemożliwe. Jak mamy ruszyć z własną firmą, jeżeli trudno mi nawet utrzymać pracę w Selmount?

Z zamyśloną miną przeżuwa kawałek naleśnika.

– Okay – mówi. – Jasne, ostatnio twoja pewność siebie trochę ucierpiała. Mogę poczekać. Ale nawet jeżeli nie wykorzystasz tego czasu na nasz biznesplan, powinnaś go wykorzystać, żeby popracować nad sobą. Moja Leena Cotton nie mówi, że jej jedynym upragnionym celem jest „utrzymanie pracy”, i na pewno nie używa słowa „niemożliwe”. Chcę zobaczyć swoją Leenę Cotton. No więc... – celuje we mnie widelcem – masz dwa miesiące, żeby ją znaleźć.

– Jak mam to zrobić?

Bee wzrusza ramionami.

– „Odnajdywanie siebie” raczej nie jest moją mocną stroną. Ja tu tylko nakreśliłam strategię, produkt końcowy należy do ciebie.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Dziękuję, Bee. – Nieoczekiwanie ściskam jej dłoń. – Jesteś wspaniała. Naprawdę. Niesamowita.

– Hm... Powiedz to wszystkim samotnym facetom w Londynie, moja droga. – Delikatnie poklepuje moją dłoń, po czym znowu bierze widelec.

## 2

### *Eileen*

Mijają właśnie cztery długie uroczne miesiące, odkąd mój mąż uciekł z naszą instruktorką tańca, i do tej chwili ani razu za nim nie zatęskniłam.

Spod przymrużonych powiek patrzę na stojący na kredensie słoik. Chociaż mój nadgarstek wciąż pulsuje przeszywającym bólem po kwadransie mocowania się z zakrętką, nie zamierzam się poddawać. Niektóre kobiety są same przez całe życie, a mimo to jedzą rzeczy ze słoików.

Piorunuję słoik wzrokiem, a siebie besztam w myślach. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Urodziłam dziecko. Przykuwałam się łańcuchem do buldożera, żeby ratować las. Postawiłam się Betsy w sprawie nowych zasad parkowania na Lower Lane.

Przecież potrafię otworzyć ten przeklęty słoik z sosem do makaronu.

Dec przygląda mi się z parapetu, gdy przetrząsam szufladę z przyborami kuchennymi w poszukiwaniu narzędzia, które zastąpi moje coraz mniej użyteczne palce.

– Uważasz mnie za stukniętą staruszkę, prawda? – zwracam się do kota.

Dec macha ogonem. To sardoniczne machnięcie. Wszyscy

*ludzie są stuknięci, mówi ruch jego ogona. Powinnaś brać przykład ze mnie. Mnie otwierają wszystkie słoiki.*

– Ciesz się, że swoją dzisiejszą kolację masz w torebce – odpowiadam, grożąc mu łyżką do spaghetti. Właściwie nie przepadam za kotami. To był pomysł Wade’a, żeby w zeszłym roku wziąć dwa kocięta, ale stracił zainteresowanie Dekiem i Antem, kiedy na horyzoncie pojawiła się panna Cza-cza-cza. Doszedł do wniosku, że Hamleigh jest dla niego za małe, a koty trzymają w domu tylko starsi ludzie. „Możesz je zatrzymać – oznajmił mi wielkodusznie. – Bardziej pasują do twojego stylu życia”.

Nadęty dureń. Zresztą i tak jest starszy ode mnie – we wrześnie skończy osiemdziesiąt jeden lat. A jeśli chodzi o mój styl życia... Pożyjemy, zobaczymy, Wadzie Cotton. Pożyjemy, zobaczymy, do cholery.

– Wiele rzeczy się zmieni, Declan – mówię do kota, zaciskając palce na rękojeści noża do chleba, leżącego w głębi szuflady. Niewzruszony Dec wolno mruży oczy i nagle otwiera je szeroko i śmiga z parapetu, kiedy unoszę oburącz nóż, żeby go wbić w pokrywkę słoika. Dziurawię ją z cichym „ha!”; udaje mi się dopiero po kilku próbach, jak gdybym była początkującą morderczynią z Agathy Christie, ale gdy łapię zakrętkę, tym razem puszcza bez trudu. Nucąc pod nosem, triumfalnie wrzucam zawartość do rondelka.

Proszę bardzo. Gdy sos się podgrzał, a makaron ugotował, sadowię się w jadalni z herbatą i studiuję swoją listę.

*Basil Wallingham*

Plusy:

- Mieszka na mojej ulicy, tylko parę kroków ode mnie
- Ma własne zęby
- I wciąż na tyle ikry, żeby przeganiać wiewiórki z karmników

Minusy:

- Potworny nudziarz
- Zawsze chodzi w tweedowych marynarkach
- Niewykluczone, że faszysta

*Pan Rogers*

Plusy:

- Tylko 67 lat
- Gęsta czupryna (godna podziwu)
- Tańczy jak Pasza z *Tańca z gwiazdami* (godne jeszcze większego podziwu)
- Uprzejmy dla wszystkich, nawet dla Basila (godne największego podziwu)

Minusy:

- Niezwykle religijny, bardzo pobożny. Pewnie nudny w łóżku (?)
- Odwiedza Hamleigh tylko raz w miesiącu
- Nie wykazuje zainteresowania nikim oprócz Jezusa

*Dr Piotr Nowak*

Plusy:

- Polak. Fascynujące!
- Lekarz. Przydatna sprawa przy dolegliwościach

- Ciekawy rozmówca, znakomity gracz w scrabble

Minusy:

- Dla mnie trochę za młody (59 lat)
- Prawie na pewno wciąż kocha byłą żonę
- Wyglądem trochę przypomina Wade'a (nie ze swojej winy, ale to odpychające)

Nie przerywając jedzenia, sięgam po długopis. Przez cały dzień ignorowałam tę myśl, ale... powinnam umieścić na liście wszystkich samotnych dzentelmenów w odpowiednim wieku. W końcu wstawiłam tu Basila, prawda?

*Arnold Macintyre*

Plusy:

- Mieszka po sąsiedzku
- Odpowiedni wiek (72)

Minusy:

- Obmierzła postać
- Otruł mojego królika (zgoda, na razie brak dowodów, ale wiem, że to on)
- Przyciął gałęzie mojego drzewa, na którym było mnóstwo ptasich gniazd
- Wysysa ze świata całą radość
- Niewykluczone, że na śniadanie pożera kocięta
- Prawdopodobnie wywodzi się od ogrów
- Nie cierpi mnie prawie tak jak ja jego

Po chwili wykreślałam „Prawdopodobnie wywodzi się

od ogrów”, ponieważ nie powinnam mieszać do tego jego rodziców – mogli być przecież całkiem miłymi ludźmi. Zostawiam jednak punkt o kociętach na śniadanie.

Proszę bardzo. Pełna lista. Przechylałam głowę, ale oglądana z ukosa, jest tak samo przygnębiająca jak wtedy, gdy patrzę na nią wprost. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: w Hamleigh-in-Harksdale, liczącym stu sześćdziesięciu ośmiu mieszkańców, nie ma w czym wybierać. Jeśli w tym stadium życia chcę znaleźć miłość, muszę szukać dalej od domu. Na przykład w Tauntingham. W Tauntingham mieszka co najmniej dwieście osób i autobusem jedzie się tam zaledwie pół godziny.

Dzwoni telefon; odbieram w salonie w ostatniej chwili.

– Halo?

– Babcia? Tu Leena.

Rozpromieniam się w uśmiechu.

– Zaczekaj, tylko siądę.

Sadowię się w swoim ulubionym zielonym fotelu w różę. Telefony wnuczki zawsze są dla mnie najmiłszą chwilą dnia. Nawet gdy były przejmująco smutne, kiedy rozmawiałyśmy tylko o śmierci Carli – albo o wszystkim innym oprócz niej, bo ten temat sprawiał za dużo bólu – nawet wtedy telefony od Leeny dodawały mi siłę.

– Co u ciebie, skarbie? – pytam ją.

– Wszystko w porządku. A u ciebie?

Mrużę oczy.

– U ciebie wcale nie jest w porządku – mówię.

– Wiem, wyrwało mi się, przepraszam. Ktoś kicha i odruchowo mówi się „Na zdrowie”. – Słyszę, jak przełyka ślinę. – Babciu, miałam... miałam w pracy atak paniki. Wystali mnie na dwumiesięczny urlop wypoczynkowy.

– Och, Leena! – Przyciskam dłoń do serca. – Ależ to nic

złego, że dają ci wolne. Mała przerwa od tego wszystkiego dobrze ci zrobi.

– Odstawiają mnie na boczny tor. Nawaliłam, babciu.

– Hm, to zrozumiałe, zwłaszcza...

– Nie – przerywa mi łamiącym się głosem – wcale nie. Boże... obiecałam Carli, mówiłam jej, że kiedy jej nie będzie, postaram się, żeby mi to w niczym nie przeszkodziło, a ona zawsze mówiła... mówiła, że jest taka dumna, ale teraz...

Placze. Wczepiam palce w zapinany sweter, tak jak Dec albo Ant wbijają w niego pazury, gdy siedzą mi na kolanach. Nawet w dzieciństwie Leena prawie nigdy nie płakała. W odróżnieniu od Carli. Kiedy ta się zdenerwowała, wyrzucała w górę ręce i wyglądała jak uosobienie nieszczęścia odgrywane przez aktorkę melodramatu – trudno się było nie roześmiać. Natomiast Leena robiła tylko ponurą minę i spuszczała głowę, spoglądając z wyrzutem spod długich, ciemnych rzęs.

– Daj spokój, skarbie. Carla na pewno chciałaby, żebyś zrobiła sobie wakacje – pocieszam ją.

– Wiem, powinnam myśleć, że to wakacje, ale nie potrafię. Po prostu... jestem na siebie wściekła, że tak schrzaniłam sprawę. – Ostatnie słowa są stłumione, jakby zasłoniła usta dłonią.

Zdejmuję okulary i pocieram grzbiet nosa.

– Niczego nie schrzaniłaś, skarbie. Jesteś zestresowana, i tyle. Może przyjechałabyś na weekend? Przy kubku gorącej czekolady każda rzecz wygląda lepiej. Będziemy mogły spokojnie porozmawiać, w Hamleigh możesz się oderwać od tego wszystkiego...

Zapada długa cisza.

– Strasznie dawno mnie nie odwiedzałeś – dorzucam z wahaniem.

– Wiem. Bardzo przepraszam, babciu.

– Och, nie ma za co. Przyjechałaś, kiedy odszedł Wade, byłam ci za to ogromnie wdzięczna. Poza tym mam wielkie szczęście, że wnuczka tak często do mnie dzwoni.

– Wiem, że przez telefon to nie to samo. I nie chodzi o to... Przecież wiesz, że bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć.

Ani słowa o matce. Przed śmiercią Carli Leena przyjeżdżała zobaczyć się z Marian co najmniej raz w miesiącu. Kiedy skończą się te nieszczęsne nieporozumienia między nimi? Bardzo uważam, żeby o tym nie wspominać – nie chcę się wtrącać, to nie moja rola, ale...

– Dzwoniła do ciebie matka?

Znowu długie milczenie.

– Tak.

– W sprawie... – Na co się ostatecznie zdecydowała? – Hiperterapii?

– Hipnoterapii.

– Ach, tak.

Leena nie odpowiada. Nasza żelazna dziewczyna. Jak sobie mają z tym poradzić, skoro obie są tak cholernie uparte?

– Dobrze, nie mieszam się do tego – mówię do ciszy po drugiej stronie.

– Przepraszam, babciu. Wiem, że to dla ciebie trudne.

– Nie, o mnie nie musisz się martwić. Ale pomyślisz o przyjeździe na weekend? Trudno mi pomagać ci z daleka, kochanie.

Słyszę, jak pociąga nosem.

– Wiesz co, babciu? Przyjadę. Zamierzałam cię odwiedzić i... i naprawdę bardzo chcę się z tobą zobaczyć.

– No proszę! – Rozpromieniam się. – Będzie wspaniale.



Przygotuję na kolację jedno z twoich ulubionych dań i wtajemniczę cię we wszystkie ploteczki z wioski. Wiesz, że Roland jest na diecie? A Betsy próbowała ufarbować włosy, ale coś nie wyszło i musiałam ją wieźć do fryzjera ze ścierką do naczyń na głowie.

Leena parska śmiechem.

– Dzięki, babciu – odzywa się po chwili. – Zawsze wiesz, co mi poprawi nastrój.

– Takie są już wszystkie Eileen – odpowiadam. – Troszczą się o siebie nawzajem. – Mówiłam jej to, gdy była dzieckiem; tak naprawdę moja wnuczka ma na imię Eileen. Marian nazwała ją tak po mnie, gdy wszyscy przypuszczaliśmy, że umrę na ostre zapalenie płuc na początku lat dziewięćdziesiątych; a kiedy się okazało, że jednak jeszcze nie stoję nad grobem, zrobiło się trochę zamieszania i ostatecznie Leena została Leoną.

– Kocham cię, babciu – mówi.

– Ja ciebie też, skarbie.

Gdy odkłada słuchawkę, uświadamiam sobie, że nie powiedziałam jej o swoim nowym projekcie. Krzywię się. Obiecałam sobie, że powiem jej, kiedy zadzwoni następnym razem. Nie wstydzę się, że szukam miłości, ale młodym ludziom starszy człowiek, który chce się zakochać, wydaje się dość zabawny. Nie ma w tym żadnej niechęci, raczej brak refleksji, tak jak śmiejemy się z dzieci, które zachowują się jak dorośli, albo z mężów próbujących zrobić cotygodniowe zakupy.

Wracam do jadalni i przyglądam się liście mężczyzn do wzięcia w Hamleigh. Nagle przestało to być dla mnie istotne. Myślę tylko o Carli. Staram się skupić na czymś innym – tweedowych marynarkach Basila albo byłej żonie Piotra – ale to na nic, więc siadam i pogrążam się we

wspomnieniach.

Myślę o małej Carli, dziewczynce o gęstych lokach, z poobijanymi kolanami, uczeptionej ręki siostry. Myślę o niej, gdy była młodą kobietą w spranym T-shircie Greenpeace, za szczupłą, ale uśmiechniętą, pełną energii i fantazji. I myślę o Carli, która leżała w pokoju od ulicy u Marian. Wychudzonej, mizernej, walczącej resztkami sił z rakiem.

Nie powinnam jej opisywać tak, jakby wydawała się słaba – to wciąż była ta sama Carla, z tą samą fantazją. Nawet podczas ostatnich odwiedzin Leeny, zaledwie kilka dni przed śmiercią, nie zamierzała tolerować głupstw wygłaszanych przez starszą siostrę.

Leżała w specjalnym szpitalnym łóżku, przywiezionym pewnego wieczoru do salonu Marian przez ekipę taktownych pracowników służby zdrowia, którzy zainstalowali je z niezwykłą wprawą i ulotnili się, zanim zdążyłam im zaproponować choćby filiżankę herbaty. Stałyśmy z Marian w drzwiach. Leena siedziała w fotelu, który przysunęłyśmy do łóżka, a potem już nigdy nie wrócił na poprzednie miejsce. Głównym elementem salonu nie był już telewizor, ale to łóżko z kremowobiałymi barierkami po obu stronach materaca i szarym pilotem, który wiecznie gubił się pod kocami. Ustawiało się nim wysokość łóżka, by unosiło Carlę, gdy chciała usiąść.

– Jesteś niesamowita – powiedziała do siostry Leena z oczami lśnącymi od łez. – Myślę, że jesteś... niesamowita, dzielna i...

Carla wyciągnęła rękę z szybkością, o jaką wtedy bym jej nie podejrzewała, i dźgnęła siostrę w ramię.

– Przestań – rzuciła. – Nie mówiłabyś takich rzeczy, gdybym nie umierała. – Chociaż miała słaby i bezbarwny

głos, można było pochwycić w nim żartobliwy ton. – Ostatnio jesteś dla mnie o wiele miłsza. Dziwne. Szkoda, że mi nie wymyślasz za to, że tak marnuję życie.

Leena skrzywiła się.

– Przecież nigdy...

– Nie przejmuj się, tylko się wygłupiam.

Z niepewną miną Leena poprawiła się w fotelu, a Carla przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: „Och, na litość boską”. Przyzwyczaiłam się już do widoku jej twarzy bez brwi, pamiętam jednak, jak to dziwnie wyglądało na początku – w pewnym sensie dziwniej niż brak jej długich kasztanowych loków.

– Dobrze, dobrze, już będę poważna – obiecała.

Zerknęła na mnie i Marian, a potem dotknęła dłoni Leeny palcami, które wyglądały zbyt blado na opalonej skórze siostry.

– Zgoda? No już, powaga na twarz. – Carla na moment przymknęła oczy. – Chciałam coś powiedzieć. Coś poważnego. – Otworzyła oczy i utknęła wzrok w Leenie. – Pamiętasz, jak wyjechałyśmy pod namiot tamtego lata, kiedy wróciłaś z uniwersytetu i powiedziałaś mi, że twoim zdaniem doradztwo biznesowe to sposób, żeby zmienić świat, a ja się roześmiałam? A potem kłóciłyśmy się o kapitalizm?

– Pamiętam.

– Nie powinnam się śmiać. – Carla z trudem przełknęła ślinę; jej rysy drgnęły z bólu, napięła się skóra wokół oczu, suche usta zadrżały. – Powinnam była cię słuchać i powiedzieć ci, że jestem dumna. W pewnym sensie kształtujesz świat, naprawiasz go, a świat potrzebuje takich ludzi jak ty. Chcę, żebyś wywaliła tych wszystkich zadufanych starych facetów i sama zaczęła rządzić. Żebyś

ruszyła z własną firmą. Pomagała ludziom. I obiecaj mi, że kiedy mnie nie będzie, postarasz się, żeby ci to w niczym nie przeszkodziło.

Leena siedziała z pochyloną głową, a jej ramionami wstrząsał szloch. Carla pokręciła głową.

– Leena, przestań, dobrze? Jezu, tak to się kończy, kiedy człowiek chce powiedzieć coś serio. Mam cię znowu dźgnąć?

– Nie. – Leena zaśmiała się przez łzy. – Proszę, nie. To nawet bolało.

– No więc zapamiętaj, że za każdym razem, gdy przepuścisz jakąś okazję, gdy będziesz się zastanawiać, czy sobie poradzisz, gdy pomyślisz, że chyba dasz sobie spokój z czymś, czego naprawdę chcesz... będę cię dźgać z tamtego świata.

Taka właśnie była Carla Cotton.

Zawzięta i niemądra. Dobrze wiedziała, że bez niej nie damy sobie rady.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).